

# Adam Hollanek

## Fausteron

Właściwie nie wiem do czego potrzebny byłem doktorowi Jerzemu Faustowi. Człowiek bywa czasem potrzebny człowiekowi w chwilach upadku. On więc okazał mi się bardzo przydatny. Po trzech odrzuconych przez wszystkie wydawnictwa książkach i całym łańcuszku bezskutecznych artykułów do prasy, rozpiłem się. Na koszt swoich koleżków. Początkowo płacili za mnie. Tak, nawet płacili. Potem zachowywali się coraz niegrzeczniej. W końcu, gdy ich zacząłem nachodzić w domu - ich matki lub żony mówiły mi przez drzwi "nie ma, wyszedł, nie wiem gdzie go szukać".

Ale ja z czasem ich odnajdywałem. Znałem po prostu knajpę. Tam się zbierali. Przywalałem się wtedy bezczelnie do stolików, psułem im nastrój.

Mówiłem "postaw no jedną kolejkę Wicek czy Wacek", zależnie od okoliczności. I nieraz mi się udawało. Bali się, że zrobię jakąś grubszą awanturę, a zależało im przecież na pozycji, na opinii, na tym wszystkim co ode mnie odpadło, nie wiem czy z mojej winy, ale odpadło.

Zawsze udawało mi się wyrwać kilku na pokera. To jeszcze ze mną jako tako lubili, zwłaszcza kiedy miałem przy sobie trochę przypadkowo zarobionego grosza, który zresztą szybko ode mnie uciekał. Po paru kieliszkach i rundkach - przegrywałem. Tego wieczoru jednak szło mi nieźle. Jak dziś pamiętam przysiadł się wtedy do nas szczeniakowaty dr Jerzy Faust. Wiedziało się o nim niewiele i to po plotkarsku. Studiował podobno w Pradze i tam rozpoczął karierę. Robił

wielkie ekspedycje do dzikich szczepów znad Amazonki. Przyjechał do nas, na tutejszy uniwersytet, wykonywać jakieś wspólne duże doświadczenia. Coś nawet pisano o tym w prasie. Zresztą, czy ja wiem. Może mi się zdawało z tą jego sławą. Rzeczywistość mieszała mi się z tym co jeszcze zdołałem przeczytać i pomyśleć. Niektórzy twierdzili, że cała naukowa kariera Fausta to wielka lipa, a koleżkowie z naszego grona gadali wprost, że on się tak pęta wszędzie bez ładu, składu i celu, bo go żona, którą ogromnie kochał, dla kogoś kantem puściła.

Nigdy nie interesowałem się specjalnie nauką. A i on nie bardzo na uczonego wyglądał.

Zawołałem do niego, gdy się przysiadł do stolika:

- Nie kibicuj pan, doktorze, chodź do nas to cię w karty nauczymy. To ciekawsze od tych wszystkich  $E = mc$  kwadrat i innych pi razy oko. On jednak nigdy nie grywał. Przypatrywał się, popijał trochę, słuchał w milczeniu plotek. Z nikim w gruncie rzeczy się nie przyjaźnił. Drażnił swoją wyszukaną elegancją i manierami. Starał się wyraźnie o różnicę od nas. Uderzał swoim gładkim, niemal młodzieńczym wyglądem. Miałem go za bubka, karierowicza, zresztą teraz w naukach mnóstwo bubków. Jak ktoś się trochę chemii czy matematyki i fizyki poduczy, co musi być zresztą paskudnym zajęciem, to łatwo mu zrobić zawrotną karierę. Tak, jest ich - tych speców - ciągle za mało.

Jerzy Faust, choć widywałem go przynajmniej raz w tygodniu, tak, chyba raz, może dwa razy w tygodniu, nie zdawał się zwracać na mnie najmniejszej uwagi. Albo - źle mówię. Ja nie dostrzegałem, żeby zwracał. Ciągle mi się racje płaczą. Przez alkohol.

Tego się w żaden sposób nie potrafię oduczyć: ćwiartka rano, ćwiartka w południe i przynajmniej ćwiartka przed lub po kolacji. Gdy próbuję pisać, a to przecież mój zawód, ręce mi się trzępią jak zarzynane kury. Wszystko mi się płacze. Jednakże on musiał mnie od dawna obserwować, ten diabelny Faust. Na co liczył? Na moją półprzytomną samotność. Na pewno na nią liczył i na moje znaczone karty.

- Pożycz mi doktor forszę - powiedziałem chyba wówczas do niego. Przymilnie, niezwykle grzecznie. - Pożycz mi pan, chcę przybić, a widzi pan, że wygrywam.

Udał, że nie słyszy.

Byłem pod dobrą datą. Zacząłem ryczeć. Zerwałem się i wyróciłem stół. Jerzy Faust - pamiętam to - powolutku zbierał karty pod stolikiem i przyglądał się każdej zbyt uważnie. Musieli na to zwrócić uwagę partnerzy.

- Znaczone - wykrztusił jeden z nich - ty podła świnio.

Byliśmy chyba sami karciarze i kibice w tej barokowej salce klubu. Jednak w drugiej mogli znajdować się jeszcze ludzie z zewnątrz.

- Cicho - dodał więc partner, na razie całkiem spokojnie, spokojniej niż krztusił to swoje "ty podła świnio".

Chyba jednak dalej ryczałem. Nie pamiętam jak to się nagle stało. Dość, że otoczyli mnie wszyscy. "Wreszcie mnie złapali" - pomyślałem sobie.

- Odjazd - odezwał się znowu ten sam - odjazd, ale już.

Odepchnąłem go. Chyba dość lekko.

Nic już nie zobaczyłem. Poczułem pod dłońmi parkiet podłogi. Musiałem się przy tym bardzo drzeć, wszystko starałem się im pewnie wygarnąć, wszystko co o nich wiedziałem i myślałem. Niemało. Zatykali mi gębę. Wynieśli z klubu. Nie żalowali szturchańców, nawet kopniaków. Byłem dokładnie zalany, a wieczór parny. Ulica kompletnie, ale to kompletnie pusta.

Wtedy on dopomógł mi wstać. Dr Jerzy Faust. I od tego czasu żyję na jego koszt. Mieszkam w jego willi. Chodzę sobie w jego pidżamach. Piję za jego pieniądze. Nawet czasem lubię z nim pogadać. Pisuję sobie też czasami.

Pamiętam pierwszą rozmowę.

**Ż**adna niespokojna myśl nie przeszła mi wówczas przez głowę. A przecież mógł ze mną zrobić co mu się podobało, w tej swojej przestronnej willi. Nic mi nie chciał zrobić. Ciągle się zastanawiam do czego mu byłem i jestem potrzebny. Jeszcze mi szumiało we łbie. Golnałbym sobie trochę.

Prowadził mnie przez amfiladę wielkich pokoi. Jak się u nas dba o tych facetów od nauki - pomyślałem. Tu się spodziewać można było nowoczesnych, maleńkich pomieszczeń z małymi mebelkami, barkami, kolorkami. Tymczasem mijaliśmy niemal sale. Z ciemnymi obrazami olejnymi, z których - zdawało mi się - kiwają ku mnie jakieś głowy. Z antycznymi fotelami i komódkami na jamniczych nogach. Makaty na ziemi, makaty na ścianach. Dostojna atmosfera profesorskiej rezydencji, jakich zresztą więcej w tym mieście. Ale skąd to do niego?

Nie po raz pierwszy zwróciłem wtenczas uwagę na jego krok. Ciężko odrywał stopy od podłogi, powłóczył nieco

nogami. Wyszliśmy na chłodną klatkę schodową, potem na drugą, oficynową. Coraz bardziej trzeźwiałem i każdy szczegół nowego otoczenia wbijał mi się w pamięć. A raczej niektóre tylko szczegóły: Tak, niektóre. Ściany gołe. W rogu zbroja. Błyski światła na metalu. Schodki kręte. Był blisko mnie.

- Uważaj - powiedział - bardzo kręte i strome.
- Mógłbyś mnie z nich zrzucić na pysk do piwnicy.
- Mógłbym, uważaj.

Na dole było ciemno. Wysforował się naprzód. Przekreślił kontakt. Co za zmiana scenerii. Pusty hol. Z niego kilka bielutkich drzwi. Jak w poczekalni lekarskiej.

- No, teraz najciekawsze - powiedział.

Przypatrywał mi się z uwagą. Często mi się od tego czasu tak przypatruje. Dlaczego? Mam swoje różne teorie.

Za drzwiami drewnianymi były metalowe. Jakby zamknięcie ogromnej lodówki. Znowu coś tam kręcił. Wąski przedpokoik jasno się oświetlił. Zimno. Zaszczękałem zębami.

- Psiakrew, zapomniałem cię ubrać. Zmarzłeś, co?
- Zmarzłem - szczękałem zębami.
- Długo tu nie będziemy.

Wtedy może zrodziło się podejrzenie? Prawdopodobnie miałem dość tej jego opieki i chciałem się napić. Czegoś gorącego. Gorącego za wszelką cenę, na przykład grogu, prawda? Odwróciłem się. Odepchnąłem go na bok. Przytrzymał mnie. Wydał mi się bardzo silny.

- Zwariowałeś. Puść mnie, chowie.

Otworzył przede mną jedną ze swych lodówek. Dwie takie były, ale jedną najpierw otworzył. Zrobiłem krok do tyłu, ale patrzyłem.

W szklanym naczyniu, podobnym do wanny, leżała kobieta. Gołe ciało niezbyt wyraźne w płynie, w którym było rozciągnięte. Głowa tylko wystawała. Ubrana w diadem z rurek, błyszczących w zimnym świetle, metalowych rurek. Musiała mieć włosy, ale zginęły w tłoku tych rurek.

- Przedstawiam ci moją małżonkę - powiedział uroczyście i prędko otworzył drugą lodówkę. Takie samo wnętrze. Tylko z męską głową. - A to jej ukochany.

Zwrócił się do pierwszej lodówki. Chwilę patrzył na twarz kobiety, białą jak jego nieskazitelny zawsze kołnierzyk. To płaskie porównanie narzuciło mi się wówczas najbardziej. Nie mówiłem nic. Nawet mi sobie trudno przypomnieć, czy się trochę przestraszyłem. Chciałem tylko jak najprędzej stamtąd wyjść.

- No to już.

Szybko zatrzaskiwał drzwiczki tych sezamów. Zauważyłem, że gdy wszedł pierwszy do pokoju lekko chwiało się na nogach. Mnie także ogarnęło znużenie i głowa mi się dobrze zakręciła, kiedyśmy z lodowni przeszli do nagrzanego pokoi.

Bezwiednie usiadłem w bardzo głębokim, klubowym fotelu, obok biurka. Wielkiego, ciemnego biurka. Przy takim nie można ani urzędować, ani nawet siedzieć, po co komu takie biurka - myślałem idiotycznie. Łeb mi się kręcił. Olejne bohomy z postaciami w długich szatach zaczęły mi tańczyć.

- I co - powiedział - napijemy się?

Już stała na biurku kryształowa karafka z przezroczystą wódką. Już nalewał.

- Widziałeś więc trzy osoby dramatu. A jutro ostatni akt się zacznie. Jutro, może pojutrze.

- Jakie trzy? - tak na pewno zapytałem wtedy. - Jakie trzy?

Pomyślałem, że mógłbym zostać czwartą.

- Jakie trzy? - powtórzyłem, myśląc o postaciach z obrazów. Tamten widok z dołu wydał mi się pijackim widziadłem. Zresztą chyba go już nie pamiętałem.

- No trzy. Żona, jej ukochany i ja. Banalny trójgącik, co?

- Banalny - skinąłem głową, wychylając do dna kieliszek. Część świństwa wylała się. Wycierałem bezskutecznie kołnierz. Wycierałem i wycierałem.

- Nie taki całkiem jednak banalny. Nie całkiem. Weź bracie pod uwagę, że jestem uczonym. Rozumiesz: u - czo - nym. No, jeszcze jednego. Jutro zacznie się rozgrywka.

- Aleśmy się urzęneli. Jak ty się nazywasz, no, gadaj. Jak się nazywasz? - tak chyba zagadywałem do niego.

- Idioto - tak chyba mówił. - Jestem Jerzy Faust. Doktor Jerzy Faust. Faust, Faust, Faust. - Ryczał mi to chyba wprost do ucha.

- Nie bujaj - zdaje się, że tak odkrzyknąłem, też w samo ucho - nie łżyj. Faust miałby tysiąc lat. A ty? Ty jesteś gówniarz. Gówniarz. JuJurek po papierosy. Szczeniak jesteś przy mnie. Po papierooooo - sy.

To się tak zaczęło. Wszystko się zaczynało w tych dniach i kończyło na wódzie.

**N**a drugi dzień rano: sam mi przyniósł tackę z jedzeniem i kielichy.

Piliśmy na czczo. Tylko odrobinę zagryzali. Opowiadał mi o tej swojej Lizie i o tamtym. Podobał mi się. Byłbym się w nim zakochał na umór, gdybym był babą. Miał przecież gębę mocną, ciekawą, niegłupią. I młodą. Kto by pomyślał, że był już grubo po sześćdziesiątce. Przysięgał się, że to najprawdziwsza prawda.

- Pamiętasz tę scenę z lodówkami?

Nie pamiętam. Chciałem, żeby mi nalał kieliszek. Sam spróbowaem, ale mi odsunął rękę.

- Jesteś sam jak palec, wiem - powiedział.

- Noto co?

- Byłem też taki samotny. Przy swojej pięćdziesiątce z haczykiem wyglądałem pomarszczony i sterany.

- Pleciesz.

- Stary i zniszczony. Parszywy mól książkowy. Bez przeżyć. Wiesz gdzie się poznaje kobietę, w której można się zakochać?

- W najidiotyczniejszy sposób się ją poznaje.

- Sądysz? Była smarkulą. Mogłem właściwie przystawiać się do jej matki. Tak się zresztą zaczęło. W filharmonii je obie obserwowałem. Ona tam z matką chodziła. Rzadko



widywałem obok tych dwu pań jednej jeszcze cackiem całkiem i drugiej - smarkuli, starszego pana o szpiczastym nosie. Tatusia. Ona miała nos prosty. Nie wiem jak to się dzieje. Skąd się jej taki wziął. Bo u nich wszyscy albo kartoflane, jak matka i babka, albo spiczaste jak tatuś i dziadek. Mniejsza z tym. Nieważne, w kogo się wdała.

- Lubisz muzykę? - powiedziałem, starając się nalać do kieliszków. Pozwolił tym razem.

- Nic prawie z brzdąkania nie rozumiem. Nic. Kompletnie mnie to nie interesuje.

- To na coś tam chodził?

- Żeby zobaczyć jak to wygląda. Lubilem się z tego śmiać jak goście siedzą i z nabożeństwem uciekają od własnych myśli, wpatrzeni w facetów z powykęcanyimi kawałkami metalu albo innymi przedmiotami o śmiesznych kształtach. Czemu to ma akurat takie kształty, a nie inne? Czemu to brzmi właśnie tak? Funkcjonalizm...

- Ona też ma funkcjonalne? - zapytałem.

W tym momencie przypomniałem sobie tę lodówkę z kobietą w metalowych rurkach na głowie.

- Ty, to było naprawdę: kogo tam masz W lodówce?

- No, ją.

- Nie Lżyj.

- Odstaw kielich i słuchaj. - Popatrzył się na mnie jak by myślał "idioto, i tak niczego nie pojmujesz, ale ci opowiadam, bo muszę się przed kimś wygadać". Zresztą po dziś dzień nie

wiem na pewno, dlaczego mnie sprowadził. Mam różne teorie. Ale o nich za chwilę. Później.

- Miałem pomarszczoną gębę, ale w środku jeszcze byłem niezły. No, nie byłem zepsuty - powiedział. Na tyle nie zepsuty, że mi się zdawało, że ona się we mnie zakochała. Czort wie, może się kochała rzeczywiście. Była początkowo zazdrosna. Jeszcze jak, Potem poznałem ciekawe zбочzenie tej zazdrości. Ciągnęła mnie w kółka towarzyskie. Gdy spostrzegła, że mam powodzenie, że się mną interesują takie jak ona smarkule - to wcale z zabaw nie chciała zrezygnować. Rezygnowała ze mnie. Miała swoich kolegów. Spotykała się z nimi codziennie. Nic mnie nie obchodził ten jej własny czas. Mężczyzna w moim wieku, który jeszcze niewiele zrobił, nie interesuje się duperelami. Ja się duperelami coraz mniej zajmowałem. Kompletna obojętność dla ludzi. Nie, żebym nie lubił. Owszem. Tylko bez angażowania się. Rozumiesz? A ją ludzie angażowali. Opowiadała mi początkowo szczegóły każdego spotkania. Bawiło mnie to nawet. Żartowałem sobie z niej. Czasami bardzo złośliwie. Tak, wierzyłem jej. Nie przypuszczałem, aby mogła. No, napijmy się jeszcze.

- I zamknąłeś ją do lodówki?

Już mi szumiało w głowie. On budził we mnie więcej obojętności niż zainteresowania. Poczulem się doskonale. O lodówce powiedziałem ot, tak sobie. Ta lodówka z ciałem kobiety i ta druga z mężczyzną to był pijacki koszmarek.

- Ja ich jutro obudzę - powiedział wstając.

Był wściekły. Miałem przez chwilę wrażenie, że mnie chce tupnąć. I zastanawiałem się, jak zareaguję. Tylko tego byłem ciekaw: jak zareaguję. Czy spuszczę łeb i zniosę to, czy mu oddam? Ale nie uderzył. Dobrze. Wstał i powtórzył:

- Ja ich jutro, najdalej pojutrze budzę. Pomówisz z nią. Będziesz z nią mówił. Poznasz jaka jest.

- Napijmy się jeszcze - przerwałem.

We łbie miałem już tylko ochotę na smak alkoholu. Jeszcze trochę. Jeszcze trochę. Jest wesoło? Nie? Wszystko się kręci, wykręca, zapada. Nawet przestaję wiedzieć, że istnieję. Najmilsze uczucie.

Bydlak na drugi dzień nie dat mi ani kropelki. Pilnował także, żebym nie uciekł. Ani siły, ani ochoty nie miałem na taką ucieczkę. Gdym sobie porównał klub z tym co teraz. Nie, szkoda porównywać. Nie dat mi pić. Ale da.

Pokazywał mi dokładnie to swoje największe doświadczenie. Ciała tych dwojga tkwiły w wannach z roztworem fizjologicznym którego temperatura były znacznie niższa od zera. Kazał mi dotknąć płynu. To była bardzo zimna lemoniada o żółtawym kolorze. Nagie ciało wydawało się w niej woskowe i rybne. Nic ludzkiego, przysięgam, przysięgam. Posąg. Twardy. Próbowałem. Brrr.

Tkwiła w tym jakaś szalona perwersja, gdy się usiłowało wierzyć, że ta kobieta, z tymi ładnymi kształtami jest jeszcze żywa, że można się do niej zbliżyć i dotykać, a ona kiedyś będzie czuła i mówiła. A teraz właściwie jej nie ma. Bo że właściwie nie żyła, to fakt.

Co się dzieje z człowiekiem, któremu się odbierze naturalną temperaturę ciała? Wyjaśniał rzeczowo, ale pod tym musiała się kryć gorączka. Wyjaśniał mi, że organizm ludzki jak gdyby rozpada się wówczas na najdrobniejsze cząstki.

Już przy 29 stopniach, tak - przy plus dwudziestu dziewięciu - zanika świadomość. Człowiek staje się nieczuły

na wszelkie bodźce. Manekin, bryła sztucznie połączonego mięsa, nerwów i kości. Nic. To jest tak zwana zimna anestezja. Życie stopniowo przechodzi w stan, który Claude Bernard określił jako *vie non manifestee*. Nie ma go w gruncie rzeczy, trwa podskórnie, drzemie gdzieś tam głęboko jak u ryb uwieczonych w krze lodowej.

Serce osiąga swój biegun chłodu przy dziewiętnastu, plus dziewiętnastu lub nawet plus szesnastu stopniach. Staje. Zupełnie się zatrzymuje. W miarę dalszego ochładzania zrywają się więc wszelkie kontakty między poszczególnymi organami a nawet komórkami. Każda cząstka ciała stara się resztkami sił wegetować na swój własny rachunek. Nie trzeba jedzenia, nie potrzeba powietrza.

- Popatrz.

Nałożył klosz na woskową twarz w wannie. Pokazał mi manometr. Ogromny manometr z długim czarnym wężem.

- Wypompowuję powietrze.

Wąż ruszył. Zatrzymał się w pobliżu zera.

- Ani krztyny powietrza. Oddychałem gwałtownie. Czułem każdy swój oddech. Wydawało mi się, że każdy kolejny coraz trudniej łapię. Przeszanę oddychać? Tłumaczył mi z kolei, że według prawa, pamiętam doskonale, aż się dziwię, że to tak precyzyjnie pamiętam, według prawa van t'HoffaArrheniusa intensywność reakcji chemicznych zwalnia się dwukrotnie po obniżeniu temperatury o kolejnych 10 stopni. Po oziębieniu tego ciała do plus 30 stopni, czyli zaledwie o głupich siedem kresek, zużycie tlenu zleciało o połowę. Przy dwudziestu stopniach - aż do 85 procent. Ustrój liczący sobie 10 stopni

ciepła zużywa tylko 5 procent tej ilości tlenu jaką zazwyczaj spożytkowuje w normalnej temperaturze. A ona tutaj"

- Ona jest w pobliżu zera. Nie oddycha. Rozumiesz?

Opisywał mi jak ich oboje zwabił i jak z nimi postąpił. Z detalami to objaśniał. Widocznie sam nie mógł i nie chciał uronić ani szczegółu. Chciał je wszystkie mieć świeże, świeżuteńkie. Na zawsze w pamięci.

Przerwałem mu wtedy całkiem serio, że jak mi będzie zabraniał dalej pić to go obezwładnię.

- Ty, ty byś to potrafił? - I zaśmiał się.

Myślałem, że prowokuje awanturę. Ale nie. Tylko spod oka pilnie mnie obserwował. Więcej się nie zaśmiał. Pozwolił mi się znowu napić. Pił także sam. Trochę gorączkowo. Niemal jednego za drugim.

Opowiadał te sceny zbyt chaotycznie jak na mój gust i słabą głowę. Nakrył ich w sposób prymitywny. Wrócił z podróży do Anglii dzień wcześniej. Zastał chłopaka z nią. Oni byli podobno dla siebie bardzo odpowiedni, doskonale dopasowani fizycznie i psychicznie. Rozmawiali sobie o różnych tam głupstwach i to ich wzajemnie bawiło. Opisywali sobie każdy szczegół swych idiotycznych uczuć. W stosunku do Jerzego ona się zachowała brutalnie. Oświadczyła mu, że ma go już po uszy, że stary i że z takim starcem nie ma w ogóle nic do roboty, że tylko męczy i nudzi. Takie to ćmoje boje wygadywała. I wreszcie: trzeba się rozstać. Tak powiedziała, wprost. Przy tamtym, który także zachowywał się dość bojowo. "Niech pan nie myśli, że ją pan skrzywdzi. Żadnych takich brutalności" - stawiał się chłopak. "Co pan zresztą o

niej wie. Jesteście różni, obcy ludzie. Jakie pan ma do niej prawo?"

Wtedy Jerzemu Faustowi rozjaśniło się w głowie. Postanowił wykorzystać swoje doświadczenia naukowe. Zamrozę ją. Zatrzymam w tej postaci, w jakiej ją kochałem, a tymczasem wykorzystam swój inny wynalazek i będę się odmładzał.

Miał takie środki od dawna wypróbowywane na zwierzętach. Czemu by ich działania nie wypróbować na sobie?

- Przypatrz się mojej szyi - powiedział, rozpinając kołnierzyk swej zawsze śnieżnobiałej koszuli.

Z tyłu, za uszami i pod włosami, dojrzałem całe łańcuszki schodzących aż na kark blizn. Małych, ledwo, ledwo widocznych, już starych. Po dawno zasklepionych ranach.

- Ta parka nie przevegetowała w wannach całych dziesięciu lat, o nie. - Dodał.

I zaraz przyszła kolej na mrożące moją krew opisy zabiegów, jakie na tych obojgu dokonywał. Idąc śladem sławnych odkryć Filatowa, który stwierdził w tkankach poddawanych działaniu niskich temperatur wytwarzanie się substancji bodźcowych, zwanych biogennymi stymulatorami, Faustowi udało się wyodrębnić jedną z takich substancji.

- Dawniej nikt nie mógł tego zrobić - mówił ciągle gorączkowo, ale z tą swoją przerażającą naukową dokładnością. - Nie mógł, ponieważ mnie pierwszemu udało się doprowadzić człowieka do temperatury zerowej, a nawet nieco poniżej zera. A wówczas ta substancja, broniąca resztek organizmu od nieuchronnej śmierci, szczególnie silnie się

ujawnia. Jest jej dużo i jest bardzo aktywna. Nazwałem ją fausteronem, zwłaszcza, że ma charakter zbliżony nieco do hormonów, wiesz? Ach, gdybyż udało się ją otrzymywać syntetycznie, cóż to byłby za eliksir młodości.

Przerwał, wpatrywał się chwilę w postaci w wannach. Potem zbliżył się i ku memu przerażeniu i wstrętowi zaczął je odwracać, ukazując miejsca, z których pobierał skórę, zawierającą ów wytwarzany przez chłód - fausteron organiczny.

- To był potwornie żmudny i ponury proceder. Zapewniam cię.

Oziębiał tych dwoje. Po miesiącach, czy nawet po roku w oziębionych było sporo tego fausteronu, więc ich zagrzewał, chuchał, dmuchał - aż dochodzili prawie do przytomności. Zdierał z nich niewielkie płyty skóry, wszczepiał sobie. Przywracały młodość jego twarzy i całemu ciału, mimo że pobierał je w niewielkich ilościach. Potem znowu ich na długie miesiące zamrażał. Znowu ogrzewał. Ponownie pobierał skórę. I tak mijały lata.

- Ile? - zapytałem niecierpliwie.

- Dziesięć. Jutro mija równa dziesiątka.

Teraz rozumiałem, skąd sprzeczne informacje o jego długich wyjazdach ekspedycyjnych, niby to do dalekich i dzikich krajów, gdzieś nad Amazonkę.

- Teraz pojmujesz? Dziesięć lat. A ona, ona wyjdzie po tej dziesiątce identyczna jak wówczas, gdy ją kładłem po raz pierwszy do wanny, dziewiętnastolatka. Dziewczyneczka. Sam smak życia. Dlaczego miałem tego nie próbować? Myślałem sobie zawsze: "zatrzymam ją, zamrozę w tej postaci

jaką najbardziej kocham, a sam się odmłodzę". To trwało, prawda. Musiało trwać, ale wbrew naturze czas pracował dla mnie. Odmłodzę się - myślałem i wówczas będę śle z nią mógł lepiej porozumieć. Zobaczy mnie takim jakiego jeszcze nie widziała. Wtedy przebaczy próbę, to swoje zamrożenie, które przecież i jej przedłużyło młodość, a pewnie i całe życie. Przebaczy. Musi przebaczyć.

Swoją drogą jak on mógł tak rozumować? Musiał być dobrze zaszokowany. Jak można sądzić, że człowiek, któremu jego ręka przerwała życie w najważniejszej chwili, przebaczy mu wszystko?

Nie rozumiem Jerzego. Staram się, ale go nie pojmuję. Nie wiem, co w nim siedzi. Kompletne wariactwo. Ale wariactwo postępujące tak konsekwentnie i logicznie, działające bezbłędnie - cóż to za wariactwo. Mój Boże, jakież jestem trzeźwy, że umiem się zastanawiać, co właściwie w tym człowieku przeważa: chęć zrobienia doświadczenia, jakiego nikt przed nim nie zrobił, chęć sławy, chęć odmłodzenia siebie? A uczucie do tej Lizy?

Gdy ich zastał razem, postanowił nie tylko ją, ale ich oboje zamrozić. I zagrać grę. Wolną grę. Ciekawy był piekielnie, jak z tej gry wyjdzie. Ja jestem głęboko przekonany, że nie można wygrać. Ona wybrała tego młodego, który tego jej wyboru padł ofiarą. Pytałem Jerzego czy oni oboje zachowają pełną świadomość po eksperymencie (że ja jeszcze ciągle wierzę, że oni z tego wyjdą cało).

- Naturalnie - odpowiedział.

- Pewnie - dodał - bez tego nie byłoby całej mojej gry. Wolnej gry sił, w którą i ty - uśmiechnął się - i ty zostałeś wciągnięty.



- Po co ja?

- Zobaczysz.

Co do mnie to mnie było wszystko jedno. Nawet przy wódce mroziło mnie jego ohydne opowiadanie ze szczegółami. Gdy ich zastał i kiedy ona oświadczyła z brutalną nienawiścią, że dłużej z nim żyć nie będzie, a ten bubek się nawet stawiał - Faust zachował zupełny spokój.

Zwierzał mi się: "Dużo mnie to kosztowało, ale olśniła mnie myśl, że mogę zagrać. Mogę za jednym zamachem sprawdzić swoje odkrycie i naturę ludzką. Nie miałem zresztą innego sposobu odzyskania jej. Rozumiesz? Innej szansy nie miałem".

Tak, nic miał sposobu. Chyba zabić. Ale to by była bezpowrotna strata. A nie chciał, on, ten bydlak nie chce nikogo stracić. Przywiązuje się chyba do ludzi, których sobie wybrał i którymi się otoczył. Mnie także nie zechciałby stracić; bez względu na zamiary jakie żywi wobec mnie. Bawi mnie to, że nie wiem do czego mnie użyje.

Wtedy uspokoił tych młodych. Powiedział, że owszem, bez rozgłosu i formalności z rozwodem się załatwi. Na razie niech sobie spokojnie tu zamieszkają, pod jego bokiem. Willa przecież obszerna. On ich w niej zostawi i wyjedzie za granicę. Uwierzyli. W gruncie rzeczy ona miała go za starego zbzikowanego baranka. Obok odrobiny złośliwości nigdy nie wykazywał żadnych dramatyczniejszych cech.

Nawet przeprosiła go za swą początkową brutalność. Tłumaczyła, że to był wybieg, jedyny sposób powiedzenia szczerzej prawdy. Obawiała się podobno próśb i łez i w ogóle

chciała jakoś tę całą sytuację skrócić. Może pragnęła zostać bohaterką romansidła?

Jerzy mówił mi, że ona wyglądała mu nawet na rozczarowaną jego kompletnym pogodzeniem się z rzeczywistością. Widocznie całkiem obojętny jej nie był! Tak to sobie w każdym razie przetłumaczył. Wieczorem dodał im do herbaty środka usypiającego. Gdy sprawdził (spali w oddzielnych pokojach - oczywiście), gdy skonstatował utratę świadomości, zrobił zastrzyki.

Porozbierałem ich, położyłem obok siebie i z satysfakcją wpychałem im kilkakrotnie igły w ciała. A ciała drżały przy każdym ukłuciu. Zamieniałem ich w kłody drewna. Nie, to źle powiedziane: w worki mięsa w końcu już w ogóle niereagujące. Przyszła kolej na koktajl lityczny, duże dawki largaktolu mieszane z innymi preparatami. Mierzyłem nieustannie temperaturę i z przyjemnością patrzyłem jak stopniowo się obniża.

Miał przygotowanych kilka wanien - lodówek dla swych zwierząt doświadczalnych, dla małp.

"Napełniłem je roztworem. Roztwór oziębiłem najpierw do plus dziewięciu stopni Celsjusza. Własnoręcznie zaniósłem każde z nich do takiej kąpieli. Mózgi utrzymywałem stale w wyższej temperaturze. Widzisz te zwoje i rurki. Prądami elektrycznymi pobudzam od czasu do czasu ich mózgi do działania, do resztkowego działania. Żeby mi zupełnie nie zginęli".

Gdy ich włożył do wanny - znowu obniżka temperatury. Ciała stygły. Teżały i stygły. Zbliżały się do zera. "Zanim to zero osiągnęły otworzyłem im żyły - zabrałem wszystką krew. O popatrz - powiedział - tu są butle z ich krwią,

zakonserwowaną i żywą. To dostaną na ostatek przy ożywianiu, w ostatnim stadium ożywiania. Mam mnóstwo innej dobrze dopasowanej krwi do wstępnych transfuzji. Tę też dostawali, gdy musiałem od nich - pobierać skórę do odmładzania się" - wskazał na szereg butli pełnych czerwieni. "Potem puszczałem z nich krew. Ich serca nie biły. Ich ciała stawały się martwe".

Przerwał to gadanie. Przybladł. Z zadowoleniem śledziłem zmiany jakie w nim zachodziły: cierpiał. Powinienem był go zniecka ogłuszyć, uciec i zawiadomić władze.

Ta myśl stawała się szczególnie uporczywa w pijackim, a raczej półpijackim widzie. Jeśli eksperyment się nie uda? Jeśli on ich nie zdoła ożywić? Albo jeśli ich ożywi, a oni nie postąpią po jego myśli? Zadrżałem na myśl o nieznannej roli w całej tej strasznej, maniackiej zabawie. o roli jaką dla mnie przeznaczył. Do czego mnie użyje?

Musiał domyślać się mego stanu, bo podsuwał teraz kieliszek za kieliszkiem. I znowu całe jego opowiadanie utonęło w zapomnieniu. Stawałem się wesoły. Czort bierz wszystko. Moje życie było zmarnowane. Co mnie obchodziły jego doświadczenia. Kobieta w wannie nie była kobietą, chłopak przestawał być chłopcem: martwe, pokryte lodem kawałki materii. Nieważne.

- Wyglądam już dość młodo? - zapytał nagle. Tak, zdaje się, zapytał.

- No, niezły jesteś.

- Podobam się kobietom.

- Wiem, że unikasz kobiet.

- Podobam się kobietom - powiedział z uporem. - I jestem silny. No, spróbuj, silniejszy wielokrotnie od ciebie.

Aha, na to mnie potrzebował.

- Głupi, nie będę się z tobą bił. Napijmy się.

- Broń się, bo zginiesz - zawołał.

Prawdopodobnie zaśmiałem się sztucznie. Walnął mnie w żołądek. Zatkano mnie, zatoczyłem się. Straciłem jakąś wagę z jednego z tych jego zabytkowych stoliczków czy serwantek. Zrobiło mi się ciemno w oczach. Zobaczyłem zaraz. krew: krew i przemoc w tych jego gadaniach całodziennych.

Wyprostowałem się, pochwyciłem ciężki przycisk. Poczulem dobrze tę broń chłodną, orzeźwiająca. Jego zwężone oczy dojrzałem tuż przed moimi. Uniosłem szybko rękę, żeby skutecznie uderzyć. Skoncentrowałem cały wysiłek w tej ręce. Przeraziłem się, że mogę już stąd nigdy nie wyjść i zapragnąłem wyjść za wszelką cenę. Uprawiałem w życiu tyle sportów, boksowałem kiedyś nieźle, uczyłem się dzudo. Potem to utonęło w alkoholu.

Nie spuściłem tej ręki.

Pomyślałem, że mógłbym go zabić. I zatrzymałem dłoń. Za to lewą poszukałem jego podbródka. Prędko. Bęc. Głowa z przymrużonymi oczami odleciała w tył. Przewalił się przez krzesło. Wstał, otarł mimochodem wargi. Nie mogę pojąć czemu nie starałem się dopaść drzwi jeszcze w tamtej chwili. Ale ciągle byłem bardzo zły. Zaślepiło mnie trochę. Szedłem na niego z przyciskiem w prawej, lewą miałem przygotowaną na odparowanie ciosu i na zadanie ciosu.

- Nieźle - powiedział, znowu ocierając wargi. - Nieźle. Jeszcze nie zginałeś. Jeszcze się liczysz.

Kocim ruchem znalazł się przy mnie, wyminął bark i moja opadającą mu na łeb rękę z tym przyciskiem. Znowu mnie palnął. Wywróciłem się. Skuliłem się momentalnie jak robak. Czekałem na atak. Bałem się podnieść, bo liczyłem, że pójdzie za ciosem. Działał powoli, ale bezbłędnie.

Wyczekał kilka sekund aż zupełnie ochłoneć. Przycisku już nie miałem w ręku. Zbliżył się. Kopnąłem, ale się wywinął. Zerwałem się i sierpem musnąłem mu szczękę: Głowa mu się lekko odwróciła od ciosu. Poprawiłem lewą. Odskoczył w tył. I nagle poczułem dużo krwi w nosie i na wargach. Chwila bólu. Nic więcej. Nie, to nie była tylko chwila bólu. Wtedy pomyślałem o sobie: "czemu się tak, jełopie, bronisz? Nie masz nikogo, nikoguteńko. Żadnej twarzy miłej w twojej pamięci. Dla kogo żyć". I to mną wstrząsnęło.

**W**łaściwie to byłem Jerzemu Faustowi nawet wdzięczny za te ciosy i za ten wstrząs. Zdałem sobie sprawę, że jedynym człowiekiem którym się mną poważnie zainteresował był tylko on. A więc jest ta jedyna głowa w pamięci.

Wstałem z ciężkim łbem. Kotary na oknach zapuszczone. Ciepło w tej hali z antykami. Jak król się poczułem, mimo ciężkiej głowy. Kto tak kiedy o mnie dbał: machinalnie sięgnąłem po stojącą obok butelczynę. Trochę po omacku nalałem sobie kieliszek. Kotary na oknach były zapuszczone, ale mnie mało interesowało czy to ranek czy wieczór. Wypiłem jeszcze jednego. I jeszcze. Zapomniałem o ciężkiej głowie. Miałem plaster na prawej stronie podbródka, plaster na policzku i nic więcej. Dotykałem jednego i drugiego. Bawiły mnie te obce ciała na twarzy. Wszystko mnie tego

dnia, wieczora, a może nocy - bawiło. Mogłem w każdej chwili wyjść na zawsze. Ubrać się i uciec. Otwierałem szafę i zamykałem. Wymacywałem różne, wiszące w niej ubrania. Mogłem w nie natychmiast przeskoczyć z mej piżamy, a raczej z piżamy Jerzego Fausta. Tak mi się przynajmniej wydawało. On nie pilnował mnie teraz wcale. Widocznie bardzo zajęty. Aha, koniec eksperymentu. Koniec tych makabrycznych lodówek w piwnicznym laboratorium.

Faktycznie. Co mnie to zresztą obchodzi. Niech sobie wskrzesza swoich umarłaków. Niech ich nawet z powrotem zamraża. Niech mnie bije codziennie po mordzie, byłem tylko mógł być w takim nastroju. Zaśpiewałem sobie. Coś tam sobie pod nosem podśpiewywałem. Kto wie zresztą czy nie bardzo głośno. Czort wie co. Nieważne. I właśnie wtedy otworzyły się te wielkie drzwi, jak w auli uniwersyteckiej.

Kobieta była w krótkim szlafrocuku, w pantoflach, włosy miała jakby trochę zlepione. Zresztą pomalowana jak lalka świeżo ściągnięta z wystawy. Świetnie to widziałem mimo półmroku. Nie wiem dlaczego zawstydzilem się bardzo, że jestem także w szlafroku i na bosaka i w takim nastroju i że trzymam kieliszek w ręce. Natychmiast o tym wstydzie zapomniałem. Na wszelki wypadek cofnąłem się za wielki czarny stół. Widać mnie było więc tylko do potowy. Taka między nami była śmieszna rozmówka:

- Ooo, kto pan jest? Nic o panu nie wiedziałam.
- Szuka pani Jurka? On na dole wypuszcza pewne zwierzątka z lodówki.
- Mnie już wypuścił.

Racja, że w tym szlafrocuku nie nadeszła z ulicy. Musiałem mieć bardzo idiotyczną minę, bo się zaśmiała. Zaśmiałem się także, ale z wielkim zmieszaniem.

- Pani? To pani. No, no i jak się pani czuje?

- Cudownie. Czemu człowieku siedzisz za tymi wariackimi kotarami?

Podbiegła do okna. Wspięła się na palce. Odwracałem się za nią jak słonecznik za słońcem. O ile dobrze pamiętam. Buchnęło światło. A ona, odwrócona, na tle światła, była czarną wspaniałą kobiecością.

- Cudownie - powtórzyła. - Przyjemnie jest żyć.

- A, a pani, pani coś z tamtego pamięta?

- Człowieku nie zawracaj mi głowy.

Podeszła do stoliczka z karafką. Nalała sobie. Wychyliła duszkiem. Zauważyłem wówczas, że jej ręce trochę latały. Rozlewała na stolik. Gestem zaprosiła mnie koło siebie, na tapczan. Skrępowany, ale posłuszny usiadłem i napiłem się. Ona także. I jeszcze raz. I jeszcze.

- Wesoly z ciebie chłopak - powiedziała. - Widać, że pijesz cały boży dzień. A to on ciebie także tak urządził?

Rozglądałem się jakby nagle niebezpieczeństwo było tuż tuż. Dotknąłem plastrów na pysku. Przyciszyłem głos.

- Gdzie go pani zostawiła?

- Nie wiem. Wszedł chyba do miasta. Musi odwalić te swoje naukowe interesy. - A ten drugi?

- Pan mnie naprawdę zaskakuje. Coś wie, ale... Eee. Ile, właściwie pan spał czy leżał nieprzytomny? To już drugi dzień jak jest po wszystkim. Drugi dzień. Po co właściwie pan tu jest?

- Po co tu jeszcze siedzisz - krzyknąłem chrapliwie i zamachałem po pijacku rękami, machałem bezładnie. - Po co tu siedzisz, wołałem, wstając, chwytając ją wpół i starając się dopchać do drzwi. - Uciekaj. Ledwo się wyrwała.

- Dom wariatów - powiedziała. Czy nie widzisz człowieka, że jestem w niezłym humorze i nie mam na razie zamiaru stąd czmychać? Co ja tam sama zrobię? Co ja bym na świecie sama robiła?

- Przecież on, przecież tu on....

- On stracił swoją władzę. Człowieku - powiedziała, śmiejąc się i mrużąc do mnie oczy - człowieku on stracił władzę odkąd mnie ożywił. Co mi może zrobić? W każdej chwili mogę stąd wyjść. W każdej chwili. Patrz - dodała - klucz do laboratorium, klucz do mego pokoju, klucz do drzwi wejściowych, zawsze mogę wyjść. Ale co on mi może więcej zrobić. Jest dobry, łagodny i - i pełen niepokoju. On się teraz tylko może bać.

Nic mi się nie układało w głowie.

- No to wypijmy - powiedziałem.

Kiedy on przyszedł wcale się nie zorientowaliśmy. Zobaczyłem go dość niespodziewanie z tą jego przystojną, młodzieńczą, gładko wygoloną twarzą, w tym jego eleganckim ciemnym garniturze. Przysiadł na stołku fortepianowym. Okręcił się w kółko. Przypatrywałem mu się. Musiałem mieć bardzo mętne oczy, bo się uśmiechnął



drwiąco, pokazując mi kieliszki. A potem pociesznie pogłaskał się po twarzy: po podbródku i policzku, jakby chciał mi przypomnieć moje plastry. Czekał, że się znów zdenerwuję? Nic z tego.

- No to pijmy Jerzy - powiedziałem, nalewając trochę trzęsącą się ręką.

Kobieta się śmiała głośno. Za chwilę było nas już aż trzech mężczyzn z nią jedną. Przypatrywałem się z kolei jej bubkowi. Chuderlawy, szczuplutki. Wobec Jerzego Fausta prawdziwy wymoczek. Tacy mali bywają najbardziej zaczepliwi. On też ciągle zachowywał się wyzywająco. A w stosunku do niej zbył poufale. Gdy ją objął i przytulił, spoglądając na Jerzego ze śmiechem, powiedziała ostro.

- Nie chcę tego. Odczep się. - Odepchnęła go bardzo silnie. Omal że się nie skatulał z tapczanu, na którymśmy wszyscy razem siedzieli. Ryknęliśmy we trójkę śmiechem. On się zaczerwienił. Przysiadł na krawędzi.

- Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho - mówił do Jerzego.

- To czemuś stąd od razu nie wyfrunął? - spytał Jerzy.

- Przestańcie - krzyknęła - źle wam tak? Mnie tak dobrze. Nalej jeszcze, człowieku.

Nalałem. Potem tańczyliśmy z nią po kolei. Jerzy był szarmancki i starał się nie reagować na zaczepki tamtego. Ja wszystkim ustępowałem.

To był wyjątkowo zadziorny kogucik ten jej bubek. Złościł mnie. Zresztą i on się urznął. Nawet nie pamiętam kiedy się ta zabawa skończyła: kiedy nadszedł wieczór, a kiedy rano.

O nie. Przepraszam. Cholerna wóda. Jedno mi się przypomina. Gdy po raz nie wiem który ona tańczyła z Jerzym Faustem zauważyłem, że on stara się ją pocałować, a ona przyjmuje to z radością. Diabelska sprawka. Wypuścił kobietę z lodówki, gdzie przeleżała bez życia całych dziesięć lat, a ona jak gdyby nigdy nic. Całuje się z nim.

Poczułem odrobinę sympatii dostawiającego się bubka. Nie wiem czy on także widział, bo był kompletnie zalany i zdawało mu się, że na antycznym stoliku szachowym rozgrywa wielką partię.

Ustawił szachy, powyprowadzał pionki i figury. Mruczał: "szach, szach, szach, mat". Potem wszystko trochę cofał i jeszcze raz swoje. "No, czemu nie robisz ciągu" - zapytał mnie. "Rób". Wzruszyłem ramionami. "Rób" - powtórzył. I jeszcze coś plótł. Nie słuchałem. Podśluchiwałem rozmowę tańczącego Jerzego. Teraz myślę, że oni całkiem głośno rozmawiali. Ładna para.

- Jesteś teraz naprawdę młody chłopiec - mówiła mu. - I tyle, tyle umiesz. Młody, fajny chłopiec.

Czyżby on wygrał? - pomyślałem. Już samo to, że ona nie chciała uciekać mogłem śmiało uważać za jego wygraną. Teraz mu się przymilała. Coraz więcej sympatii czułem do tego wykiwanego bubka. Tyle co ona przeleżała przez nią w lodówce. Tyle przeleżała i nie żyła, żeby ją teraz stracić. - Niech to wszyscy diabli.

**S**zukałem jej po całym domu. Ani jej, ani bubka nie znalazłem. Z przykrością uświadomiłem sobie, że wszystko robię dziś zupełnie na trzeźwo. Nie ciągnęło mnie do butelki, choć po wczorajszej bibie (a może to było przedwczoraj lub

wcześniej jeszcze?) dość ich jeszcze i to nie cackiem pustych walało się po barze i po stołach. Nawet nalałem, ale zapomniałem wypić. Trochę mi się to śmieszne wydawało. To bieganie po całym domu. Działalem jak w gorączce. Tłumaczyłem się, że to po wczorajszym pijaństwie i dlatego że dzisiaj ani kropli. Dobrze. Pal diabli tłumaczenie. W korytarzyku na dole, do którego doszedłem, paliły się dwie jarzeniówki. Syczały głośno, podkreślając pustkę. Zmitygowałem się. Trzeba było wejść cicho, niespodziewanie - jeśli oni są tutaj. Buchnęło zinnem i Jerzy Faust uśmiechał się przed kabiną. Nie mówił jeszcze nic, tylko uśmiechał się i obserwował mnie. Odsunąłem go. Wszedłem. Dał się łatwo odsunąć. W wannie, w której przedtem ona musiała leżeć, tkwiło kosmate cielsko dużej małpy. Odsunąłem się mimo woli. Klepnął mnie po plecach. Objął i pokazał drugą małpę w drugiej wannie. Zatkanęło mnie.

- Wściekły? - zapytał.

- Znowu te doświadczenia? - warknąłem.

- Jasne. To nie może być przerwane. Fausteron, rozumiesz? Nie może, bez względu na to jak się moja osobista sprawa rozwinie.

- Liza?

Wzruszył ramionami.

- Nie więzę jej. Skończyłem doświadczenia. Nie więzę.

- A bubek?

- Widziałeś, że wczoraj miał dość.

- Co on robi? No, mówże co oni robią. Wyszli jednak razem?

- Nie, nie razem. Rano spakował swoje manatki.

- Pewnie się gdzieś umówili.

Przyjrzał mi się jakby mnie pierwszy raz zobaczył. Zachowałem się po kretyńsku. Mówiłem bardzo blisko jego twarzy. Z pasją. Więc zapytał:

- Nie piłeś? Nic nie piłeś. Popatrz no.

Przyglądałem się małpom. Nie do zniesienia była myśl, że on ludzi trzymał w tych samych wannach co te małpy. Fałszywie to wyrażam: inaczej to wówczas formułowałem. Całkiem inaczej. Małpy leżały nieruchomo ze szklistymi otwartymi oczyma, ustami lekko uchylonymi, z diademem rurek na głowach. Skąd je wziął, te małpy? Gdzie, u diabła miał klatki? Byłem zawsze taki pijany - willi dobrze nie znałem. Teraz sobie to z tatą ostrością uświadomiłem, gdy liczyłem wszystkie obejrzone przed chwilą pokoje i zakamarki, które przebiegłem szukając tamtych.

- Nie pijesz - powtórzył. - Wyszedłem naprzeciw ciebie jakieś huknął drzwiami - zrobił ruch ręką: chciał mi pokazać o jakie drzwi chodzi. - Wyszedłem naprzeciw, bo się bałem, że możesz... - Tu ręka mu przeszła nad moją głowę, po drodze lekko stuknął mnie pięścią w czaszkę. Zareagowałem bardzo gwałtownie. Pchnąłem go tak, że się mało co na wannę nie przewrócił.

Oparł się o ścianę. Miałem przez moment wrażenie, że rzuci się.

Czekałem na to. Po raz pierwszy wyczułem jednak: nie miał odwagi zaatakować. Sprawilo mi to przyjemność, rozładowało napięcie.

- Nie pijesz, bracie - powiedział - a zachowujesz się jak pijany.

- Chciałbym wreszcie wiedzieć do czego ci byłem potrzebny.

- A ja chciałbym wiedzieć, czy się przypadkiem nie przydałem na coś?

- Ty mnie?

- Tak, ja tobie.

Staliśmy tak naprzeciw siebie. Jerzy Faust roześmiał się. Nie jestem pewny, czy to nie było wymuszone.

- Nie bój się. Wróci - dodał prędko, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Bubka wyrzuciła, wyrzuciła, wyrzuciła.

- Wygrałeś?

- Wątpisz.

- Tobie się zdaje, że twoja nauka pozwoliła ci zeżreć wszystkie rozumy. Tymczasem nigdy nie wiesz jak się zachowa człowiek. Nigdy. Ja, ja sądzę, że tu każde doświadczenie zawodzi. Zawsze nas zawodzi doświadczenie.

Wołała Liza.

Głos jej w tej chłodnej i pustawej przestrzeni zabrzmiał wobec naszych szczególnie ciepło i mocno. Obaj

podskoczyliśmy ku drzwiom. - Jurek - wołała - co ty tam znowu robisz.

Przepchnął się przede mną przez drzwi. Szczęśliwy człowiek. Czy na to byłem mu potrzebny? Zrzuciła mu rękę na szyję. Zachowywała się jak dziewczynka. Czegoś innego w niej szukałem. Ubzduriała sobie, że po tym co zaszło powinna być inna, że zawsze powinna być inna. Tymczasem z tamtym na pewno była taka sama. Z każdym. Na mój widok ucieszyła się wyraźnie. Pokazała nam torbę.

Otwierała ją gorączkowo, nawet nie patrzyłem na fatalaszki, które stamtąd wyciągała. Ohydny banał. Coś gorszego niż banał. Szmira powtarzałem sobie.

Można jednak z góry przewidywać zachowanie się takiej kobiety. Faust znał ją oczywiście lepiej i dłużej ode mnie. W tej chwili jego doświadczenie, to doświadczenie z ludźmi, ta cała walka i rywalizacja zrobiła się śmieszna. Jerzy zmałał w moich oczach, kompletnie zmałał.

Zostawiłem ich i poszedłem się napić. Dogonili mnie. - Nalewaj - wołali - nalewaj.

Drżały mi ręce, gdy nalewałem.

- Z czego się tak strasznie śmiejesz, popatrz jak on się śmieje. Nie marszcz się tak w śmiechu, bo brzydko i staro wyglądasz - powiedziała do mnie, a raczej krzyknęła. Rzeczywiście nie miałem dotąd najmniejszego pojęcia, że się zanoszę od śmiechu. Jerzy Faust poklepał mnie po plecach.

- No i widzisz chłopie, w porządku.

Jakich nadzwyczajności mogłem się po nich spodziewać? Tak, ale to jeszcze nie wszystko. Co się stało dalej muszę

opisać, choć ręce mi się znowu trzępią od przepicia jak zarzynane kury.

**N**a dworze było mnóstwo słońca.

Wciskało się tu, między stare meble i obrazy. Odbierało trochę powagi. Wyobrażałem sobie jak Jerzy musiał paskudnie spędzić tę noc. Odwrócił się do mnie plecami, gdy nalewał kieliszki. Wygodniej mu było w ten sposób przystąpić do stołu. Obserwowałem jego ręce. Ani drgnęły.

- Nie masz do mnie żalu? - zapytałem.

- Do ciebie? Sam ciebie sprowadziłem.

Istotnie wyglądał na pogodzonego z losem. Ile w tym było udawania? Zniknął nawet najmniejszy śladzik jego drapieżności. Może w nim tego nigdy nie było. Zresztą - pocieszałem się - miał do czego wrócić. Miał swoje doświadczenia: podobno z jedną małpą, na dole, działało się nie najlepiej.

Powiedziałem mu:

- Masz swoje doświadczenia, masz co robić.

- Zostawicie mnie? - zapytał.

To samo pytanie postawił jeszcze wczoraj.

- No przecież we trójkę żyć nie będziemy.

- Nie denerwuj się. Nie potrzebujesz się denerwować. Tylko powiedz, jak pójdziecie, z czego będziecie żyli?

Wtedy mi się przypomniało jak ona beztrąsko nad tą sprawą przeszła do porządku dziennego. Było już dobrze po północy i Jerzy trochę chwiejnym krokiem poszedł do swoich małp. Uparł się, że pójdzie. A myśmy mu mówili: "zostaw to do diabła". Ale musiał się nudzić i mu i siał być zły, gdyż ona coraz rzadziej z nim tańczyła i mówiła.

Tylko wyszedł przysunęła się do mnie. Stała tuż, tuż, leciutko oparta się na mnie. "Człowieku - powiedziała - i ty myślisz pewnie, że ja bym z Jerzym została. Po tym wszystkim co się stało. Musiałam mieć trochę czasu na ochłonięcie. I tamtego chciałam się pozbyć". Zachnąłem się. Nie spodziewałem się przecież tego, ale dalibóg to było najmiłsze ze wszystkiego czego dotychczas doświadczyłem. "Zostawisz go?" "Pewnie. Niech sobie szuka idiotki. Widziałeś tę jego sztuczną młodość. Ona jest tylko z wierzchu. W środku został taki sam jak przedtem". "Kocha cię jednak" - próbowałem go niby to bronić. Ale jakim to głosem robiłem. "Człowieku - powiedziała - o miłość nie jest wcale trudno". Skrzywiłem się. "Głupio się krzywisz. Nie masz pojęcia co we mnie siedzi". "Co siedzi?" Objęta mnie nagle i pocałowała. "To we mnie siedzi".

Nie dosłyszeliśmy jego kroków. Wszedł cichutko po tych swoich puszystych, profesorskich dywanach. Dopiero kiedy stanął nad moimi plecami zwiertzyłem niebezpieczeństwo. Szybko się odwróciłem. Miał oczy ściągnięte i nabiegłe krwią. Co miał do stracenia? Doświadczenie wygrał, ale przegrał tę swoją ludzką walkę. Wybrał mnie pewnie tylko dlatego, że uważał mnie za słabego przeciwnika. Oszukiwał samego siebie tą równą walką.

Tymczasem tak się to wszystko wykołowało. Co miał teraz do stracenia? Przestraszyłem się, że wybierze ostateczność.



"Nie idzie mi" - powiedział przez zęby.

"Pomówmy otwarcie - powiedziała Liza. - Absolutnie nie mam zamiaru z tobą zostać. Próbowałam, ale już nie mam zamiaru".

"Nie idzie mi" - powtórzył Jerzy w moją stronę. Odpaliłem ostro: "Znaliśmy się tak krótko, że nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań. Poza tym te twoje doświadczenia z ludźmi. Mam dość twoich doświadczeń z ludźmi. Nie będziesz więcej robił prób z ludźmi".

"Zabronisz?" Szedłem na niego. Ten sam przycisk, który miałem w ręce podczas pierwszego starcia, twardą metalową statuetkę (zabijcie mnie, jeśli wiem co przedstawiała) już ścisnąłem w dłoni. Od razu ją miałem na oku. Tę statuetkę. I jego łeb. Pochylony łeb z przymrużonymi oczami. Uniosłem statuetkę. Pochylił głowę jeszcze mocniej. Nie patrzył na mnie. Patrzył w bok.

"Radzisz mi nie robić doświadczeń z ludźmi. A to czemu? Coś na tym stracił".

Zdawało mi się, że go dobrze zrozumiałem. Nie odchylił się, gdy robiłem zamach, nie wyciągnął nawet rąk przed twarz. Cisnąłem statuetką w lustro, które odbijało naszą trójkę: Rozprysło się na kawałki. W jednym odłamku została tylko część twarzy Lizy.

Karmił mnie. Wtajemniczał w swoje sprawy, jeśli nawet chciał, żebym był łatwym przeciwnikiem - okazałem się trudniejszy. On tracił, ja zyskiwałem z każdą chwilą. Odbierałem mu to, co sobie uzbierał. Liza miała twarz histerycznie wykrzywioną i piszczała: "Nie chcę, żeby przeze mnie lata się krew". Obaj zatrzymaliśmy na niej oczy. Zrobiła

ruch jakby chciała objąć Jerzego. Zawahała się. Przyskoczyła do mnie. "Weź mnie stąd. Weź mnie stąd. Prędko".

"Co mam robić Jerzy" - zapytałem bezradnie. Uśmiechnął się. To był gorzki uśmieszek.

"Chciałem wam powiedzieć - odezwał się jak najspokojniej umiał - że nie bardzo mi poszły doświadczenia, tam na dole. Jedno zwierzę ma się źle. Bardzo źle".

**Z** czego będziemy żyli we dwójkę? Zastanawiałem się nad tym właśnie gdy manie o to zapytał. Nie mogłem o tym nie myśleć jak Liza.

- Postaram się jakoś wkłęcić do starej roboty.

- To nie będzie łatwe. Znają cię z najgorszej strony.

Byłem wściekły, że mi tamte sprawy przypomina. Na pewno miał rację, ale po co mi wypominał.

- Mam zrezygnować? Żądasz jednak, abym z niej zrezygnował?

- Nie, ale może byście tu... oboje...

Spojrzałem mu w oczy. Nie spuścił wzroku. Na dnie błyskały chyba iskierki ironii.

- Żartujesz?

- Nie, mówię poważnie. Mógłbym wam przez pewien czas pomóc. Pracowałbyś u mnie. - Przerwał. Ironia zniknęła. Machnął ręką. Niepotrzebnie gadam. I tak zrobisz inaczej. Musisz postąpić inaczej po tym co wiesz i widziałeś.

- Targujecie się o mnie? - zawołała dźwięcznie i wesoło Liza. Targujcie się sobie, targujcie. - Nagle z wesołego tonu przeszła na ten swój histeryczny, piskliwy. - Czy nie widzicie, żeście obaj dla mnie dziady. Stare, obrzydliwe dziady. - Zwróciła się do mnie z pasją: - I tyś, człowieku, mógł choć przez moment myśleć, że pójde z tobą. Ile jesteś ode mnie starszy. No, powiedz. Co ja bym z tobą robiła? To samo co z nim?

Złapała mnie za rękaw, przyciągnęła do okna, zza którego buchało słońce.

- Widzisz tego, tam na drugiej stronie? Czeka na mnie. Spakuję się i odejdę. Tylko bez kawałów, panowie.

Pojałem, że musiała tak postąpić. Teraz ja z kolei wydałem się sobie śmieszny. Było to uczucie tylko początkowo nieprzyjemne, jako że do takich przykrości nawykłem był od dawna. Wszystko więc było po dawnemu? Dobrze? Dobrze czy źle? Obojętnie?

Wyszła do drugiego pokoju spakować się. Jerzy był wstrząśnięty. Poznałem to po jego ruchach, zupełnie nieopanowanych, po spojrzeniu. Na mnie zatrzymywał wzrok z jakąś niemal ojcowską czułością.

- Hm - mruknął do mnie. - Można by coś jeszcze poradzić.

- A mianowicie? - starałem się mówić swobodnie.

- No cóż, każdy może być Faustem. Ty także. - Ściszył głos. Czulo się, że mówi w pełnym napięciu. - Można by Lizę uśpić. Zwabić tego nowego sprzed domu i także uśpić: Spróbować jeszcze raz. Spróbować. Z tobą w roli głównej - dokończył bardzo szybko.

Chciał się jeszcze raz w to bawić? Liczył po cichu na odrodzenie swoich szans?

- Idź do diabła - warknąłem.

- Słuchaj, zrozum. Żadna sytuacja się nie powtarza. Absolutnie żadna - mówił z głębokim przekonaniem. - Ta nowa będzie całkiem nowa. Nie skorzystasz z moich rozczarowań. To będzie kompletnie coś nowego. Pojmujesz. Nie warto zobaczyć, co?

- Każdy może być Faustem - przedrzeźniałem go - i ja też. Tylko po co?

Gdy w tym momencie Liza przeszła przez pokój, mówiąc "biorę na razie torbę, po walizki wrócę z robotem" Jerzy, który przed chwilą zastygł w geście przekonywania, z wyciągniętymi do mnie rękami, opuścił te ręce. Odwróciłem się i przez ramię powtórzyłem mu swoje "po co".

Adam Hollanek